

Edward Balcerzan

Sześć początków

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (28), 19-26

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Edward Balcerzan

Sześć początków

Szkic o Januszu Sławińskim zaczynałem pisać wielokrotnie, za każdym razem od nowa, w czasie nieżyczliwym dla skupienia myśli. Wkrótce zorientowałem się, że to, co piszę – powierając kolejne fragmenty pamięci komputera – nie da się nazwać spójną, ewoluującą całością, albowiem żaden kolejny zapis nie jest na przedłużeniu zapisów wcześniejszych, natomiast każdy mógłby być – początkiem. Słowem wstępnym. Czyli, dopiero jego rozwinięcie, udramatyzowanie, sprawdzenie w obrazie, wyostrzenie w paradoksie, uwierzytelnienie w stanie badań, uwieloznacznienie w cudzym słowie – otwierałoby drogę dla całości, która jednakowoż ukształtować mi się nijak nie chce. Miałem zapas początków, żaden nie nadawał się do tego, by zostać środkiem lub końcem, a próba dopisania do któregoś z nich dalszego ciągu kończyła się narodzinami... jeszcze jednego początku.

Skapitulowałem. Sytuacja wymusiła swoją rację. Jak u Białoszewskiego. Posyłam „Tekstom Drugim” (czas nagli) garść początków szkicu o Sławińskim. („Garść początków”, mógłby się tak nazywać pewien wariant ciągu sylwicznego, skoro inny model wypowiedzi nazywamy – za Sławińskim – „rzutem oka”). Przy dobrej woli Czytelnik znajdzie dla mojej decyzji stosowne uzasadnienie: już to

w ogólnej filozofii bytu (wszak to Julian Przyboś napisał: „bo jeśli co jest, jest wieczny początek”), już to w magii (może niechęć Sławińskiego do komputera mieszała mi szyki na telepatycznej linii Warszawa–Poznań?), już to w genologii (tekst złożony z początków – to coś w stylu „Tekstów”).

Początek pierwszy

„Za Sławińskim ktoś z nas powinien chodzić krok w krok, z długopisem i notesem, a co powie – zapisywać, zapisywać, zapisywać.” Jestem pewien, że tak właśnie mówił, a mówił z przejęciem, młody wówczas, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich, Zbigniew Jarosiński. Żeby te słowa usłyszeć prawdziwie, trzeba rozumieć ówczesną aurę życia polonistycznego. Wtedy ludzie byli sobie ciekawi. I to „w sposób szczególny”, jak mawia Jan Paweł II. Garnęli się do siebie, podpatrywali „badawczo”, ustalali gremialnie, kto jaki jest, przepytawali się wzajem z lektur i gustów, pisywali do siebie listy drżące od miłości (do teorii literatury na przykład), a posługiwali się polszczyzną zadbaną, z entuzjazmem tworzyli folklor środowiskowy (limeryki, bajki, ucieszne a sprośne nagrobki), spędzali razem dni i noce konferencyjne, śpiewali piosenki o Czapajewie–gieroju, chorej na niestrawność przepióreczce, tudzież o ciemniakach buszujących w peerelu.

Bez wątpienia w tym środowisku (w tamtych czasach) Sławiński był centralną postacią (więcej niż) opiniotwórczą. Z konferencji przywoziło się nie tylko zeszyty pełne notatek, i nie tylko zabawne rymy: także to, co powiedział Sławiński. Specjalny towar, osobny *genre*. Jego zaczepki, repliki, riposty. W równej mierze liczyły się sensy, jak i koncepty retoryczne Janusza.

Na przykład. Na sesji w Świnoujściu (biografia i geografia literacka) doszło to kontrowersji między Sławińskim a Marią Janion. Janusz twierdził, że jeżeli mamy badać – oprócz tekstu – osobowość, to badajmy ją, ale tylko jako wiązkę ról.

– Jeżeli osobowość ma być tylko wiązką ról – zaprotestowała wówczas Maria Janion – to proszę mi powiedzieć, czym jest to, co w człowieku wyje w nocy?

– Ja pani zaraz wyjaśnię – zarcagował błyskawicznie Janusz. –

W nocy wyją wyrzuty sumienia spowodowane tym, żeśmy nie wywiązali się z obowiązków nałożonych nam przez jedną z ról.

Rozjeżdżaliśmy się do swoich uniwersytetów w różnych miastach Polski i rozmawialiśmy po sławińsku. Środowiskowy dialekt sycił się Januszowymi wypowiedziami, które syntetyzowały nasze nastroje, domysły (często polityczne).

O Sławińskim i Bachórze usłyszałem po raz pierwszy od Anki Barańczakowej. Potem od innych kolegów. A potem to już krążyło jak skrzydlate słowo nad małymi ojczyznami polonistów.

Było tak. Końcówka lat siedemdziesiątych. Późny Gierek. Aura bez oddechu. Czarne listy cenzury, ubeckie nadzory, represje wobec opozycji KOR-owskiej i SKS-owskiej. Konferencja teoretycznolite-racka (w Toruniu?). Właśnie kończy się bankiet (pożal się Boże), zwany wieczorkiem zapoznawczo-odpoznawczym. Nie kleją się rozmowy, nie radują dowcipy. Przy niesuto zastawionym stole dymią popielniczki, więdnie sałata, salceson traci połysk, z wody mineralnej ulatują ostatnie bąbelki. Dłużej się milczy niż mówi. Milczący Janusz wpatruje się w milczącego Bachórze. Nagle pyta:

– I co z nami będzie, panie Bachórze?

Początek drugi

Nie byliśmy towarzystwem wzajemnej adoracji. Nie byliśmy sprzysiężeniem wzajemnej zawiści. W redakcji „Tekstów” (Jan Błoński, Janusz Sławiński, Stefan Treugutt i ja) oceniało się przede wszystkim prace cudze, zakładając, że każdy z nas za wypowiedzi własne sam ponosi odpowiedzialność (przed ołtarzem św. Nauki). A przecież całkowite w tej kwestii milczenie byłoby czymś nieszczerym. Raz po raz któryś z nas wypowiadał się na temat tekstu kolegi z redakcji. Zdarzało się to rzadko i przeżywało się jak szczególne wyróżnienie (ciekawe, że nie tylko pochwałę, ale i przyganę). Więc trzeba było każdą taką ocenę przemyśleć i wystylizować.

W tym najlepszy był Janusz. Jeżeli chwalił, to najzupełniej zwyczajnie. Ale jeżeli ganił, to — z konceptem, wychowawczo, edukacyjnie, by zganiony zapamiętał i nie powtórzył błędu.

- Twój felieton do numeru o ciele — zagadnął mnie kiedyś.
- Tak? Nie zgadzasz się z moimi tezami...
- Z tezami mógłbym się zgodzić. Tylko ty go tak skomponowałeś,

jak gdybyś chusteczkę z lewej kieszeni wyjmował przekładając prawą rękę za kark.

Początek trzeci

To niesprawiedliwe, a i niedorzeczne, że w języku literaturoznawczym pojęcie „życiopisania” jest ograniczone do outsiderów, artystów „przeklętych”, wpędzonych w samotność. Jak gdyby „pisać życiem” to musiało koniecznie znaczyć – skłócić się z życiem ogółu, potem z życiem w ogóle, i porzucić świat przedwcześnie, tragicznie. Tymczasem, gdyby zastanowić się nad pełnią sensu tego słowa, należałoby w „życiopisaniu” dostrzec także innych aktorów. Dlaczego, pytam, zmówiliśmy się, by „życiem” nazywać jedynie bolesną autodestrukcję? A konstruowanie? Z jakiej racji „życiem” (prawdziwszym?) ma być gra w pokera, dworcowa bezsenność, sny wytrzęźwieniowe, zastrzyki dożylnie i prochy, a nie mają być życiem wielogodzinne obrady komitetu organizacyjnego konferencji naukowej, ani (z reguły honorowe) prace w gremiach dzielących fundusze i nagrody, ani pomysły edytorskie czy redagowanie ksiąg zbiorowych? Janusz Sławiński. Odkąd go znam, a znam od 1964 roku, gdy na konferencji teoretycznoliterackiej w Ustroniu jednego dnia zdruzgotał mój (debiutancki) referat (o sygnałach ważności), skutkiem czego zastanawiałem się nad zmianą zawodu, następnego zaś poinformował mnie o przyjęciu do druku tego referatu, co prawda w skróconym wariancie, ale to mi wystarczyło, by, szumnie mówiąc, znów w siebie uwierzyć, otóż Janusz Sławiński uprawia życiopisarstwo równie, jak „przekłęci”, intensywne, a do „przekłętego” nie podobne chyba w niczym.

Może jeden rys jest zbliżony. Twórcy z kręgu bohemy gubią swoje pomysły. S ł a w i ń s k i j e r o z d a j e. Ile razy słyszałem, jak proponuje któremuś z młodszych kolegów: mam pomysł, nie mam czasu, ja panu opowiem, a pan niech napisze.

Początek czwarty

Już we wczesnych pracach naukowych Sławińskiego można wykryć utajony wątek autobiograficzny. Mam na myśli autobiografię duchową, nie obrazy ludzi i zdarzeń (to pojawi się u niego później). Kwestią ważną badawczo, ale i nicobo-

jętną prywatnie, jest dla Janusza Sławińskiego mechanizm autorytetu.

Spójrzcie, jak rzadko w swych zainteresowaniach naukowych oddala się od pisarzy wybitnych, osobistości znaczących. Drugorzędność nie pociąga go, nie aktywizuje. (Wyjątków od tej reguły znajdziecie niewiele.) Na marginesie jego uwag o Peiperze, Przybosiu, Białoszewskim pojawiają się celne obserwacje odnoszące się do fenomenu wielkości, za którą „nic nie stoi” — prócz mądrości. Sławiński nie napisał na ten temat rozprawy teoretycznoliterackiej, ale w jego *Postwoiu zamiast wstępu* (z tomu *Wypowiedź literacka a filozoficzna*, Wrocław 1982), znajduje się godny uwagi akapit końcowy, w którym — za Gadamerem — rozważa analogie losu poety i filozofa, a obserwację Gadamera o wspólnym im „ciągłym głodzie języka” poszerza o stwierdzenie, iż wspólny jest tu także „głód przedmiotu, o którym pragnęłoby się mówić, głód problematyki, którą chciałoby się odkryć, wreszcie głód publiczności, wartej tego, by mieć ją za własną”. Filozof i poeta, powiada dalej Sławiński, znajdują się w sytuacji permanentnego nicumiejscowienia.

Nie ma ich nigdzie, bo mogą być wszędzie — chciałoby się rzec, parafrazując Leśmiana. Obaj czynią z tego nicumiejscowienia problem; ich usiłowaniu patronuje utopia komunikacyjna: wiara w to, że można wypowiadać rzeczy doniosłe, przebywając w nieokreślonej strefie, która rozciąga się poza obszarem zinstytucjonalizowanych kodów mowy. Nie jest to utopia pozbawiona wymownych spełnień.

To stwierdzając, Sławiński rysuje swój autoportret.

Początek piąty

Zauważyłem, że gust lingwistyczny cechuje ludzi o zmysłowej wrażliwości na świat. Słowa im pachną, smakują, dźwięczą — wcale nie zamiast kwiatów, descerów czy orkiestr, lecz na równi z nimi — obok rzeczy. Słowiarze — sensualiści są w odniesieniu do obu sfer rzeczywistości (słowa i ciała) jednakowo perfekcjonistyczni. Rzadko zadawalają się czystym instynktem, sensualizm przemieniają w ideologię.

Kiedyś — w tej perspektywie — opiszę lingwistycznych poetów romanse z materią, wtedy opowiem, jak z iście fundamentalistyczną zawziętością Tymoteusz Karpowicz pilnuje, by najsubtelniejsze odcienie czy połyski biurka, regałów, teczek i pudeł z fiszkami

odpowiadały wiernie jego ideałom estetycznym; jak razu pewnego w Ameryce odkryłem słodką tajemnicę innego lingwisty, Staszka Barańczaka, a okazał się nią potężny zapas czekolad w biurku uczelnianym.

Jedną z pierwszoplanowych postaci w mojej opowieści o zmysłowych predylekcjach ludzi słowa będzie Janusz Sławiński. Teoretyk „poczji lingwistycznej”, autor dekalogu jej norm (zawartych w książce o języku poetyckim awangardy), Sławiński okazuje się w tym względzie osobowością idealnie reprezentatywną. Niktóżre jego pasje znam, co prawda, tylko ze słyszenia. Na przykład rowerową, która dla mnie, starego cyklisty, czymże jest? – doznaniem przyjemności, ba: rozkoszy cielesnego spotkania z wiatrem, ekstazą skóry objętej powietrzem. Wśród zmysłowych upodobań Sławińskiego są i takie, z którymi się zdradza niechętnie. Taniec? Nigdy w czasie wieczorków zapoznawczo-odpoznawczych na konferencjach teoretycznoliterackich nie widziało się Janusza na parkiecie. Nie pamiętam go w rytmie walca, a co dopiero w zwinnych zaskrońcach lambady. Przez wiele lat wydawał mi się człowiekiem spoza rzeczywistości dancingowej. Aż raz oświadczył (surowo):

– Musisz wiedzieć, że ja bardzo dobrze tańczę.

Dwie (pozalingwistyczne) namiętności Sławińskiego dane mi było obserwować bliżej. Żywnościową oraz kostiumową. Pierwsza stała się źródłem precyzyjnego systemu poglądów, a zarazem regulaminem zachowań, tyleż hedonistycznych, co i leczniczych. W tym systemie Janusza istnieje coś więcej niż kuchnia i – ewentualnie – apteka, istnieje w nim człowiek zaprogramowany tak, że nie dokuczają mu wątpliwości, co jest smaczne, a co niejadalne, ile razy można na tym samym oleju smażyć frytki (Janusz umie gotować), dlaczego węgierska gruszkówka od szkockiej whisky doskonalszą jest, jaką przewagę w leczeniu dolegliwości żołądkowych mają nad ziołami minerały, itd. W żywieniowo-leczniczym systemie Janusza królowa dialektyka – całkowicie podległa woli dysponenta regul. Wszystkie normy, ustalone arbitralnie, są tu pielęgnowane z profesjonalną akrybią. A potem radośnie lamane.

Nie wykryłem natomiast systemu w upodobaniach Janusza związanych z ubiorem – cudzym. Wygląd człowieka manifestujący się w ubiorze – Sławińskiego mocno intryguje. Może teraz mniej.

Dawniej potężnie. Człowiek plus ubiór zwykle raczej go irytował niż cieszył. Było to spontaniczne, gwałtowne, niemal „dzikie” uleganie emocjom, głównie, jak powiadam, negatywnym, sprowadzającym się do odruchu typu „Boże, co on na siebie włożył!”.

Wydawało mi się od początku naszej znajomości, że akurat tych żywiłów sam Sławiński w sobie nie rozumie. Nigdy ocen swych nie komentował, nie ujawniał norm. Tylko raz, gdy zostałem przez niego zbesztany za to, że ubrałem się jak cebula, skrawek wyciera spod skrawka, koszula spod swetra, sweter spod marynarki, marynarka spod szalika, szalik spod kurtki... Wtedy, gdy mnie beształ (i tarosił), pomyślałem, że sam rzeczywiście wygląda inaczej. Jednolity jest Sławiński, w spodniach i półgolfie. A więc pewno w jego reakcjach na strój istnieje ukryta linia estetyczna, która wiedzie ku ascezie?

Ale oto w Warszawie zjawiał się Jerzy Ziomek. W czarnej koszuli (była taka moda). Ziomka nie zaczepi, pomyślałem, czerń jest ascetyczna. Pomyliłem się. Janusz zerknął na Ziomka i:

– Wyglądasz – powiedział z przyjaznym uśmiechem – jak bliski współpracownik Mussoliniego.

Hipoteza o ascezie padła.

Początek końcowy

Pewno nie ma nic osobliwego w tym, że ktoś miewa nastroje raz lepsze, raz gorsze. Nie widać także (na pierwszy rzut oka) powodów do analizy prostego faktu, że pozwalamy sobie na humory gorsze poza domem, lecz gdy w domu przyjmujemy zaproszonych gości, pragniemy obdarować ich sobą – w wydaniu najsympatyczniejszym.

Taki jest Janusz Sławiński. Banalne? A jednak.

Sławiński to urodzony przywódca. W najszlachetniejszym (rzadkim) sensie tego słowa. Potrzeba kierowania (kimś lub czymś) łączy się w nim z instynktem opiekuńczym. Gdy jednocześnie może być dowódcą i doradcą, przewodnikiem i pielęgniarką, nauczycielem i dostarczycielem smakołyków, wtedy ma to, czego szuka.

Kiedyś przyjechał do Poznania. Zwiedził śródmieście i okolice Starego Rynku. Następnego dnia mieliśmy razem pojsć do Muzeum

Narodowego. Trasę od PTPN do Muzeum przemierzałem w życiu swym tysiąc razy. Znam ją tak, jak pracownik IBL-u zna drogę od Pałacu Kultury do Pałacu Staszica. A mimo to Sławiński zaczął mnie — tą właśnie trasą — oprowadzać! Z uporem mi wyjaśniał, którędy można na piechotę, którędy tramwajem. Najpierw się bro-nilem:

— Janusz, ja w tym mieście mieszkam kilkadziesiąt lat!
Wreszcie zgodziłem się. Niech ma, czego chce. Niech on prowadzi.
Bez takich dziwnych ustępstw, czym byłaby przyjaźń?

Poznań, maj–czerwiec 1994.